



Krzysztof Cirkot

Wyżej już tylko bogowie

TOM I

Krzysztof Cirkot

Wyżej już tylko
BOGOWIE

© Copyright by Krzysztof Cirkot & e-bookowo 2009

Grafika i projekt okładki: Krzysztof Cirkot

ISBN 978-83-61184-79-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2010

SPIS TREŚCI

Rozdział 1: Spotkanie w górach.....	5
Rozdział 2: W dół rzeki.....	7
Rozdział 3: Szlachetna Szajka.....	17
Rozdział 4: Dalej z prądem.....	51
Rozdział 5: Nocna Wizyta.....	55
Rozdział 7: Przebudzenie.....	71
Rozdział 8: Ostatnie chwile.....	130
Rozdział 9: Niedokończony Połów.....	134
Rozdział 10: Nieoczekiwana wizyta.....	141
Rozdział 11: Czas decyzji.....	146

ROZDZIAŁ 7: PRZEBUDZENIE

Świtało. Szare chmury zgromadzone przez noc rozpełzały się, znikaly gdzieś, rozpędzane przez wstające na czerwono słońce. Stali na wzgórku z którego widać było wioskę, wynurzającą się z mroku nocy. Drewniane chaty stały milczące, ciasno skupione razem jak stadko płochy zwierzyny na tle lasu, z Górami Północnymi mającymi niewyraźnie w tle.

To mój dom i wszystko co mam na świecie, pomyślał Skato pogryzając źdźbło trawy i zdrżał nagle, bo od biegu po rosie miał stopy i nogi mokre po kolana. Lecz drżał również z jakiejś naglej, niespodziewanej tęsknoty, która ciarkami przebiegła mu wzdłuż kręgosłupa. Mały, zielony ptaszek siedzący na pobliskiej tui zakwilil nagle miłą dla ucha melodię.

Masz rację, pomyślał i ogarnęła go nagle radość aż zadygotał od czubka głowy po pięty.

Czekali jeszcze tylko na Mondo. Jak zwykle się spóźniał. Pewnie jadł trzecie śniadanie, a matka kładła mu do torby czwarte, na drogę. Tilio stał spokojnie, ale po jego minie widać było, że tamten oberwie dziś po uszach za spóźnienie. Wreszcie mała, pękata sylwetka pojawiła się na tle chat, ledwie widoczna wśród traw. Jak na komendę wszyscy odwrócili się i ruszyli w przeciwną stronę. Mondo na ten widok zaczął pędzić jeszcze szybciej, machać rękami i drzeć się. Ten wrzask tak nie pasował do wszechogarniającej ciszy, że Skato przystanął.

Bałwan.

Mondo widząc, że ktoś na niego czeka, uspokoił się. Kiedy dotarł na miejsce był zdyszany i uśmiechał się do Skato z wdzięcznością. Bez słowa ruszyli za grupą, która już zniknęła w lesie.

Szli szeroką, często używaną ścieżką. Tilio jak zwykle prowadził. Udawali, że są rozbójnikami i idą na łupieżczą wyprawę na tereny sąsiedniej, nieistniejącej wioski. Szli gęsiego w kompletnej ciszy, skuleni, szturchając jedynie jeden drugiego gdy któryś szedł za wolno. Najwięcej obrywał Mondo od Grima, bo sapał jak stary druml. Wsłuchiwali się uważnie w szum lasu, usiłując wyłowić z niego odgłosy zasadzki zastawionej na nich przez wojowników wrogiej wioski, którą nazwali groźnie "Żądło". Oczywiście żadnej zasadzki być nie mogło, ale mimo to oczami wyobraźni widzieli zaczajonych na nich olbrzymich wojów, obserwujących ich pochód w zupełnej ciszy i zastanawiających się, jakby tu ich napaść i pojmać z jak najmniejszymi stratami.

Po drodze, obok wielkiego głazu porośniętego kapeluszem mchu i traw, przy którym zawsze cuchnęło moczem i odchodami, bo przechodzący tą drogą mieszkańcy wioski upodobali sobie na wychodek jego drugą stronę, ofiarującą dogodną zasłonę od ścieżki, natknęli się na Tasso i Malo. Dwaj wesółkowie, bez których nie mogła odbyć się żadna zabawa we wsi, wracali właśnie z połowów. Nieśli po trzy duże ryby nadziane paszczami na oskubane z liści wieszaki z gałęzi, oprawione już i brudne od piasku i kawałków traw, plaszczące szerokimi ogonami po ich nagich opalonych plecach. Obaj pozuli już trochę liści winumu i oczy im się śmiały.

– Spóźniliście się, chłopaki – rzucił na ich widok Tasso, pokazując kciukiem na plecy. – Wylapaliśmy wszystkie.

– Jak się chce ryb, trzeba iść w nocy – dodał Malo piskliwym, pouczającym tonem, zadowolony z rehotu jakim powitała efekt cała grupa. – A tak to teraz podjecie kamieni, głupole.

– Biegnijcie prędko – pośpieszył ich Tasso z otwartymi szeroko oczami, jakby przypomniał sobie coś niezwykle ważnego. – Flaki zostały na brzegu. Pierwszych dwóch naje się do syta.

– Gdzie? – wykrzyknął Tilio wśród ogólnego śmiechu. – Gdzie?

Kiedy przeszli przez las, znaleźli się nad brzegiem Zielonej rzeki. Rzeka płynęła tu leniwie, rozlewając się po płaskim terenie, tworząc tu i ówdzie piaszczyste wysepki, zamaskowane trzcinami i szuwarami. Z kryjówek wyciągnęli tratwę. Wykonana była z pni i grubszych konarów wylowionych z rzeki lub znalezionych na brzegu, powiązanych lnianym sznurem ukradzionym ojcu Mondo, który je wyrabiał i handlował nimi. Tratwa ta była niezwykle chybotliwa i w każdej chwili groziła rozpadnięciem, ale byli z niej dumni i podczas konstrukcji ani przez myśl im nie przeszło, aby poprosić kogoś z dorosłych o pomoc.

Tilio obsztorcował każdego z góry, tak na wszelki wypadek, aby wchodzić na pokład powoli, nie pchać się jak stado drumli, bo się rozleci. Odbili od brzegu klóćąc się zawzięcie o to, kto ma wiosłować i wrywając sobie z rąk wiosła, których było pięć, każde różnej długości i kształtu. Jedynie Tilio miał spokój – nikt nie sięgał po jego wiosło. Płynęli mozolnie, obracając tratwą dookoła i wyśmiewając jeden drugiego za nieudolność.

Kiedy byli w połowie drogi, ze strony lasu ktoś krzyknął w ich kierunku. Natychmiast wszyscy się uspokoili. Poznali ten głos od razu: to był Belem, wioskowy znachor i kapłan Spiżowej Pani. Stał na brzegu razem ze swoim pomocnikiem Stawro – starym, pokurczonym i garbatym chudzina, którego nikt nie lubił. Zapewne wracali z wyprawy po lecznicze zioła, bo nieśli wypchany worek. Wyglądało na to, że nie tylko zioła upolowali tego ranka, jako że Belem miał przełożony przez ramię luk i kolczan, a Stawro włókł za nogi dwa tłuste druszle. Obydwaj byli

dobrze już podchmieleni – Stawro mlaskając przeżuwał liścia, dolna szczęka poruszała mu się rytmicznie jak żarno.

– Co wy tam robicie, chłopaki? – zawołał Belem przyjaźnie. – Chcecie się potopić na tej łajbie?

– Nie twoja sprawa, pijany dziadu! – odwrzasnął Tilio.

– Ty podły gówniarzu! – zawył kapłan, a Stawro upuścił zdobycz i zaczął rzucać w nich kamieniami. Na szczęście byli już daleko, a stary pomocnik kapłana był zezowaty i nawet po trzeźwemu ciężko byłoby mu trafić w cokolwiek. Wypłoszył tylko jakieś ptactwo z gniazda, które uciekło strzelając skrzydłami i krzycząc w popłochu.

– Pogadam ja dzisiaj z twoim ojcem – gderał rozzłoszczony Belem. – Sprawি ci takie man-to, że jeszcze twoje wnuki będzie od niego dupa bolała.

Tilio spojrział po załodze z dumą, a ci zerknęli na niego z przestrawieniem. Był najodważniejszy z nich wszystkich i dlatego właśnie był przywódcą. Wszyscy się go bali. Był nieobliczalny.

Dopłynęli do przeciwnego brzegu nie zwracając już uwagi na dalsze groźby kapłana. Tutaj zaczynały się skały. Postrzępione, wielkie białe–różowe głazy spoczywały wśród kęp ostrokrzewu i rozłożystych sagowców. Tu był ich ulubiony plac zabaw. Zwykle bronili przeprawy przez rzekę przed wrogą armią złożoną z kmieci uzbrojonych w cepy i widły, którzy atakowali na chybotliwych czólnach. Mieli do dyspozycji własnoręcznie wykonane łuki, które trzymali pochowane w zakamarkach skalnych. Obrzucali najeźdźców gradem strzał, które następnie biegiem wyciągali z krzaków i rzeki pod osłoną gęstego ognia kolegów. Okrzykami zachęcali się do większej odwagi w obronie.

Dziś najeźdźcy byli wyjątkowo liczni i po zażartej walce i wielu stratach musieli wycofywać się, aż brakło miejsca na ucieczkę. Dalej, za ich plecami rozpościerał się wielki kanion, zwany przez Ojca Opiekuna “kanionem na którym kończy się świat”.

Istotnie, znany wszystkim świat kończył się tutaj. Nikt nie wiedział, co jest poza nim. O ile cokolwiek było. Co prawda, w oddali widać było drugi brzeg kanionu, a na nim ciągle pas lasu, podobnego do lasu po ich stronie. Czasem zdarzało się, że ktoś zobaczył coś jakby ludzką postać stojącą po tamtej stronie i przyglądającą się im. Zdarzało się, że ktoś twierdził, iż widział jak ta postać odpowiada gdy pomachać do niej ręką. Nie wzbudzało to jednak większych emocji – dorosli z wioski w ogóle mało tu przychodzili. Wystarczało im to co usłyszeli w dzieciństwie, a były to zawsze te same, mało ciekawe historie przekazywane z pokolenia na pokolenie. Jedynie Tilio twierdził, że pewnego razu widział tam kochającą się nagą parę, ale nikt mu nie uwierzył. Ojciec

Opiekun zapytywany, co jest po tamtej stronie kanionu, odpowiadał tajemniczo: „tamten świat”. Kiedy dobrze pożałował liści winu twierdził, że na tamtą stronę dostaną się wszyscy dobrzy ludzie po śmierci, a kanion jest czyścicem przez który musi przejść ludzka dusza. Jeżeli nie jest tego warta, dusza ugrzęźnie w nim na zawsze i będzie się błąkać po wieczność. Pokrywało się to prawie całkowicie z tym, co twierdził ich wioskowy kapłan, który był wielkim przyjacielem Ojca Opiekuna. Wskazując na kanion mówił niezmiennie, że to „piekło dla grzesznych dusz”. Odważnych śmiałków, którzy nie chcieli czekać by sprawdzić, jak to jest naprawdę, było niewiele. Żaden z nich nigdy nie wrócił. Większość zginęła już próbując dostać się na dno kanionu, a niepokojące i wręcz straszne odgłosy jakie potem dobiegały z tego miejsca utwierdzały tylko wszystkich w przekonaniu, że kapłan i Ojciec Opiekun mieli rację. Jednak cel swój osiągnęli, mówiono nie bez racji. W ten czy inny sposób przekonali się, jak to jest naprawdę.

Droga w dół nie była bowiem łatwa. Aby tam się dostać należało zejść po prawie pionowej skale wiele, wiele stóp. Było strasznie, niewyobrażalnie wysoko. Patrząc w dół nie sposób było zapomnieć tragicznego losu Milo i Danii. Ta młoda para rzuciła się tu ze skały wiele, wiele lat temu, kiedy rodzice odmówili im pozwolenia na ślub. Na dnie, wśród przybrzeżnych krzaków płynęła Skalna rzeka. Podobno łączyła się z Zieloną rzeką gdzieś tam dalej, daleko niżej od miejsca w którym stali, ale była to tylko kolejna niesprawdzona historia, bo nikt nigdy tam nie dotarł. Rybacy płynący w dół Zielonej rzeki wracali mówiąc o przeszkodach nie do przebycia, które zmuszały ich do zawrócenia. Niejeden, gnany ciekawością czy chciwością rekordowego połowu, już nigdy nie powrócił.

Chłonąc te widoki, chłopcy stali chwilę w milczeniu, zapomniawszy o zabawie, zapatrzeni. Przed oczami ich rozpościerało się skalne królestwo z wyrastającymi tu i ówdzie ciemnozielonymi kępami poskręcanej roślinności. Cisza była tu inna od ciszy lasu. Była jakby sama zasluchana w sobie, zamyślona nad sensem przepływu lat, który nie czynił tu większego wrażenia.

Wtem Istan zobaczył coś w dole i pokazał palcem. Coś leżało na brzegu rzeki, częściowo zasłonięte przez krzaki. Z krzaków wystawał długi, pokryty szorstką kremową skórą ogon, który poruszał się rytmicznie.

Czegoś takiego nikt jeszcze dotąd nie widział. Spojrzeli po sobie. Tilio bez namysłu zakomenderował, że kto pierwszy trafi w ogon, ten będzie mężem Rifi. Jako że każdy chciał zostać jej mężem, wszyscy na wyścigi rzucili się szukać najlepszych kamieni i w zawziętym milczeniu gorączkowo rzucać w cel. Kilka pocisków spadło tuż obok, ale ogon beztrudno poruszał się dalej. W końcu trafił Arun i czerwony ze szczęścia z przejściem wykrzyknął: „Jest!”.

Nikt nie zdążył z gratulacjami. Ogon natychmiast przestał się poruszać, a z krzaków o dobre trzydzieści stóp dalej wychynał wielki pokryty rogowymi łuskami leb i spojrzał w górę. Pod wpływem tego nienawistnego spojrzenia jadowitych, czarnych jak noc oczu wszyscy zamarli. Szeroka paszcza stwora, unurzana we krwi po posiłku, który najwidoczniej konsumował w krzakach, a który to posiłek nieroztropnie przerwali, powoli rozwarła się ukazując rząd ciemnożółtych, ostrych jak noże zębów. Z gardła wydobył się stukający warkot, który przeszedł w głośny wrzask brzmiący jak „garruum”. Stwór skoczył ku nim w górę, pnąc się po pionowej skale na szerokich, szczupłych łapach zwinnie jak jaszczurka, sypiąc spod nich potokami piasku i kamieni.

Na ten widok wszyscy jak na komendę odwrócili się i uciekli w stronę tratwy. Skato, trafiony w pierś łokciem podskakującego w panice Mondo, zachwiał się. Podczas gdy jego ciało nieubłaganie traciło równowagę, jak w zwolnionym tempie widział jeszcze plecy biegnących. Potem mignęło mu niebo i poczuł jak traci grunt pod stopami. Rozpaczliwie zamachał nogami i rękami. Lecił zasysany w przepaść i już mignęła mu myśl, że to koniec.

Nagle szarpnęło nim, wygięło rękę i głowę. Już nie spadał. Widział tylko niebo i słyszał gdzieś pod sobą stukoty i trzaski oraz wściekle „garruum”. Z góry dobiegały płacze i wrzaski wystraszonych chłopców, wiosłujących co sił i poganiających jeden drugiego. Nikt nie zauważył jego zniknięcia.

Skato uspokoił się. Zamknął oczy. Otworzył. Nieco niżej i przed sobą widział czarną dziurę, okrągły otwór w skale. Wąski lecz na tyle wysoki by mógł spokojnie zmieścić się w nim na stojąco.

Spojrzał w dół. Stwór przysiadł dokładnie pod nim, daleko na dnie kanionu i przyglądał się w milczeniu czekając, co będzie dalej.

Przynajmniej nie zje mnie żywego, pomyślał chłopak.

Rozejrzał się w sytuacji. Wisiał zaczepiony za ubranie o gałąź ciernistego krzewu o małych jasnozielonych listkach, wrosniętego w garść wciśniętej pomiędzy skały ziemi. Gałąź nie wyglądała solidnie. Wygięła się potężnie pod jego ciężarem. Rzucił okiem w dół i w górę kilka razy, zastanawiając się co robić. W końcu podjął decyzję. Podwinął nogi i szarpnął jak mógł najmocniej w dół.

Zatrzeszczało.

Poczuł jak pot zimną strużką spływa mu po plecach. Jak ciśnię mu się do oczu, piekąc.

Pomóż mi teraz, Spiżowa Pani, pomyślał. Chociaż ten jeden raz.

Wziął głęboki oddech i szarpnął znowu.

Trzasnęło i poleciał w dół. Wyciągnął ręce i złapał za krawędź otworu. Jęknął mimowolnie gdy reszta ciała uderzyła silnie o skałę. Ułamana gałąź, teraz zwisająca mu z pleców, boleśnie kaleczyła je kolcami. Pył i pot drapały i piekły po oczach.

Muszę wytrzymać, pomyślał zaciskając szczęki.

Z trudem wdrapał się do środka. Położył się na brzuchu na chłodnej skale i odpoczywał. Nogi zwisały mu nad przepaścią, którą przez chwilę jeszcze wypełniał pelen zawodu grzechoczący pomruk.

Długi czas zajęło mu odczepianie kolców z potarganej i brudnej od pyłu koszuli. Wreszcie gałąź poleciała w przepaść. Wstał na nogi i wyprostował się. Otwór był jakby wykuty specjalnie dla niego. Głową dotykał sklepienia. Dalej była pachnąca ziemią i jakimś delikatnym kwiatem lub korzeniem czerni.

Zadrzał. Iść dalej? Wiedział, że innej drogi nie miał, lecz zwlekał nim zanurzył się w chłodnych, wilgotnych ciemnościach.

Korytarz natychmiast skręcał w lewo. Plasnął bosymi stopami w małą kałużę lodowato zimnej wody, uderzył palcami w niewysoki próg, aż syknął z bólu. Kolejny ostry zakręt w prawo i zobaczył przed sobą jaśniejszą plamę. Ruszył szybciej. Plama powiększała się, nabierała konturów. Wreszcie przed oczami otworzyła mu się spora jaskinia. Drugie wejście do niej, do którego prowadziło kilka stóp niskiego korytarza, od ściany kanionu blokował wielki głaz o ostrych krawędziach. Panował tu lekki półmrok, przecinany kolumnami słonecznego światła przeciekającego przez liczne szczeliny i kominy oraz najwyraźniej ręcznie wykute otwory w stropie i ścianach. Poprzez tę kaskadę światła dostrzegł po chwili pośrodku jaskini solidny drewniany stół, zbrązowiały od starości, a na nim otwartą księgę. Obok niej stał pojedynczy smukły świecznik z złotego metalu, a na nim zastygłe w konwulsjach resztki świeczki z czarnym językiem wypalonego knota. Coś innego jednak przyciągnęło jego uwagę. Naprzeciw, na krześle tak jak stół wykonany przez fachowego rzemieślnika, spoczywał szkielet. Siedział wyprostowany i rozparty jakby odpoczywał po wielkim wysiłku. Resztki tkanek i mięśni pozasychały na poźółkłych i zbutwiałych kościach. Strzępy zetłalego ubrania zwisały z nich smętnie. Między żebrami po lewej stronie tkwił powód takiej pozycji ułożenia szkieletu: poczerniała strzała zwisała zaczepiona żeleźcem o kość pokrytą skamieniałą ze starości tkanką, dotykając resztkami lotek stołu.

Skato podszedł bliżej. Nigdy wcześniej nie widział szkieletu ani nawet martwego ciała – w zwyczaju było palenie nieboszczyków, których prochy później zbierał kapłan i trzymał w gli-

nianych dzbankach w piwnicy świątynnej, ale na te ceremonie w gaju przy Zielonej rzece dopuszczani byli wyłącznie dorośli. Nie czuł strachu, tylko ciekawość. Wszelki nieprzyjemny odór ulotnił się dawno. Pozostał tylko lekko zatęchły, wilgotny zapach jaskini. Przez szpary w ścianach dolatywało suche, gorące powietrze z kanionu. Było cicho, tylko lekki wietrzyk pogwizdywał z cicha w tych szparach. Skato wpatrywał się w szkielet długą chwilę czekając, aż ten poruszy się i spojrzy na niego.

Kim byłeś?, pomyślał nie doczekawszy się. Co tu robilesz? Kto cię zamordował i dlaczego?

Odpowiedzi nie było.